

DUCH SIENKIEWICZA W JACZOWSKIEJ SZKOLE- JANINA ZIMIRSKA

Bartosz Dzięgiel był uczniem czwartej klasy, Szkoły Powszechnej w Jaczowie. Uczył się nie najgorzej, dużo czytał i o przeczytanych książkach potrafił pięknie opowiadać. Ale też zdarzało mu się przysnąć na lekcji. Trzeba jednak wspomnieć, że Bartosz, jak to sam mawiał, był „jedynym mężczyzną w rodzinie”. Wojciech Dzięgiel, ojciec Bartosza, ostatniej zimy tragicznie zginął przy wyrębie lasu. Osierocił syna i trzy jego młodsze siostry. Chłopak miał wtedy zaledwie dziesięć lat, mimo to widział jak ciężko jest matce radzić sobie ze wszystkim i starał się w wielu pracach zastąpić ojca i pomagał matce w czym tylko mógł. Najczęstszym zajęciem jego było pasanie bydła. Wykorzystywał to na czytanie książek. Poza tym pilnował również siostrzyczek. Zwłaszcza tej najmłodszej, która urodziła się po śmierci ojca. Wieczorami, kiedy matka zmęczona całodzienną pracą, potrzebowała chwili wytchnienia, a małą Zuzię trzeba było przewinąć, nakarmić i ułożyć do snu, wtedy Bartosz, bez słowa wyręczał ją. Dobrze było, gdy Zuzia zaraz usypiała, a chłopak mógł sięść do lekcji albo poczytać. Czasem mała nie chciała usnąć, a czasem zachorowała. Wtedy na zmianę pilnowali jej, bywało, całą noc. Dlatego też, zdarzało się Bartoszowi przysnąć na lekcji. Jeśli zdarzyło mu się to na lekcji z panią Hanią, to jakoś mu lżej to uchodziło. Pani Hania, która była „chodzącą dobrocią”, pociągała go lekko za ucho, żeby wyrwać z sideł Morfeusza, bóstwa marzeń sennych. Dużo gorzej było na innych lekcjach. Wtedy dostawał „gorące łapy” kantem linijki. Nie płakał, choć to bardzo bolało. Bardziej jednak bolało go... serce, kiedy w takich razach, niektórzy śmieli się z niego. Ale Bartosz szybko chował żal do kolegów. Zwykle już z dzwonkiem na przerwę, zapominał o przykrym uczuciu. A kiedy zdarzało się, że już wcześniej czytał książkę, o której była mowa na lekcji, wpadał w trans i zaczynał opowiadać. Cała klasa, nawet pani Hania polonistka, słuchała go z zapartym tchem. Bywało, że i dzwonka na przerwę nie słyszeli i woźny musiał ich pędzić z klasy wołając: - A sio! A sio, muchy! Klasę wietrzyć trzeba!

Niekiedy jednak i sam Pan woźny zatrzymywał się na chwilę w drzwiach i słuchał opowieści Bartosza.

Pewnego dnia, z powodu choroby jednego z nauczycieli, klasa miała wolną lekcję. Zwykle, w takich przypadkach, uczniowie mieli dodatkowy wf na szkolnym boisku. Ale tego dnia padało od samego rana i Pani Hania, która była wychowawcą, uznała, że lepiej będzie jak zostaną w klasie. A znając sumienność Bartosza, powierzyła pilnowanie porządku właśnie jemu.

Jak to zwykle bywa na wolnej lekcji, wśród uczniów powstał radosny harmider, którego Bartosz na początku nie był w stanie ujarzmić. Szybko jednak poszedł po rozum do głowy i postanowił opowiedzieć tej rozbrykanej gromadzie coś, co ich zainteresuje. Od razu wiedział, co im opowie. Już od kilku dni zamierzał opowiedzieć, ale wciąż zastanawiał się, czy mu uwierzą. No i właśnie teraz nadarzyła się okazja, żeby to sprawdzić. Jednak musiał najpierw uciszyć ten dwunożny rój, więc przekrzykując innych, głośno zawołał:

- Hej! Chcecie usłyszeć coś ciekawego?!

Ale nikt nie umilkł nawet na moment. Nadal wrzało jak w ulu. Chłopak widząc, że w ten sposób nie zapanuje nad klasą, stanął na krześle i najgłośniej jak potrafił, zawołał: - Hej! Krzykacze! Cisza!

Teraz trochę przycichło, a ktoś nawet zapytał; Czego? - Czego, czego – powtórzył Bartosz – A coś ciekawego, chcecie usłyszeć?

- Chyba, że coś ekstra ciekawego - odezwał się któryś.

- E, no ma się rozumieć – dodał Rudy Tolek.

- A czy ja opowiadałem wam, kiedyś coś nieciekawego? Odpowiedział Bartosz pytaniem na pytanie.

- Noo... niby nie - niepewnie odrzekł Rudy Tolek.

W klasie ucichło i Bartosz mógł normalnie zacząć mówić. - Wiecie, że znam wiele ciekawych książek i zdarzeń. Dziś, ma się rozumieć, jak chcecie, mogę wam opowiedzieć o czymś, co nie tak dawno mnie spotkało.

- Ciebie? – A co ciebie mogło spotkać? Krowa ci do lasu uciekła? - Kpiąco pytała dziewczyna, której rodzice kilka tygodni wcześniej sprowadzili się do

Smardzowa, a ona, jako „nowa”, przysłała do ich klasy. Wprawdzie była od nich trochę starsza, bo gdzieś po drodze „siedziała” rok czy dwa, ale dano ją do ich klasy. Miała na imię Melania, ale od razu przyłgnęło do niej przezwisko *Frelka*.

Prawie każdy w klasie miał jakąś ksywkę, toteż nie ominęło to „nowej”. Poza tym fajnie się rymowało Melka-Frelka.

A Frelka już następnego dnia chciała wodzić rej w klasie.

Widać było, że musiała nieźle sobie poczynąć w poprzedniej szkole. Tu też chciała zebrać swoją grupę

i rządzić klasą, a widząc skromnego i wątlęgo Bartosza, zamierzała wziąć go pod „swoje kopyto”. Jednak przeliczyła się. Tylko dwoje czy troje dzieci z całej szkoły, i to nie „na mur beton”, przystało do niej. Wystarczyło, że gdzieś na boisku działo się coś ciekawego albo Bartosz zaczynał opowiadać, a Frelka zostawała już sama. Dlatego przy byle okazji starała się kpić z chłopaka i „nastawiać” innych przeciw niemu. Ale znany wszystkim w szkole

Bartosz, nie obawiał się jej kpin. Znał swoją wartość i miał tu wspaniałych przyjaciół, nie tylko w klasie. Toteż i tym razem nawet nie zwrócił uwagi na zaczepki dziewczyny i spokojnie odrzekł:

- Może i krowa... może i do lasu... ale trzeba umieć o tym zdarzeniu opowiedzieć tak, żeby było ciekawe.

Frelka umilkła, nie mając żadnego argumentu i w nikim poparcia, a Bartosz zaczął opowiadać dziwną rzecz, która przydarzyła mu się pewnego wieczoru. Trudno było w to wszystko uwierzyć, ale też nie sposób było mu przeczyć. Ba - choćby nawet przerwać. Nie dość, że historia jeżyła włosy na głowie, to opowiadał tak, że nikt w klasie nawet nie śmiał głośno oddychać. Czasem tylko i to, ktoś z tych odważniejszych, o coś zapytał. Nawet Frelka siedziała cicho. Słysząc było przelatującą muchę.

- Pamiętacie – zaczął Bartosz – jak na początku miesiąca pani Hania powiedziała, że mamy tylko trzy tygodnie na przeczytanie książki „W pustyni i puszcy”. Powiedziała wtedy, że na koniec miesiąca zrobi w klasie taki konkurs, o tej książce i jej autorze. Pamiętacie?

- Jasne, że się pamięta! - Odezwał się jeden z chłopaków, a gruby, Rudy Tolek dumnie wypinając pierś, zawołał: - Się wie! O Henryku Sienkiewiczu! A ten, kto najładniej opowie, w nagrodę dostanie właśnie taką książkę!

- Właśnie - przyznał Bartosz.

- Właśnie – kpiąco powtórzyła Frelka dodając - I pewnie to ty ją dostaniesz. Co? Chwalipięta – zakończyła złośliwie. - A może i dostanę – odparował Bartosz – Ale, żeby wygrać ten konkurs i dostać tę książkę, to nie trzeba się chwalić, tylko najpierw przeczytać ją „od deski do deski” i wszystko zapamiętać – mówił - A potem, jak zapytają, opowiedzieć wszystko, jak należy. A ja czytać lubię. To prawda. Wszyscy w szkole wiedzieli, że Bartosz z zapałem czyta książki. A nauczyciele dopingowali go i stawiali go za wzór innym uczniom w szkole.

Bartosz zazwyczaj nie przechwalał się tym. I teraz, kiedy o tym wspomniał, to właściwie nie wiedział nawet po co. Ot tak jakoś wyszło, a że nikt nie przerywał, więc mówił dalej: - No to, jak już mówiłem, lubię czytać. A teraz, kiedy ma być z tego konkurs, nie zamierzam przepuścić takiej okazji. Jeszcze tego samego dnia, poszedłem wypożyczyć sobie

„W pustyni i w puszczy”, żeby wieczorem poczytać.

- No, no. No i co wiesz o nim? – Przerwał mu Tolek.

- O Sienkiewiczu, czy konkursie? – Zapytał Bartosz. - E, no wiadomo! O Sienkiewiczu! – Wypalił Tolek.

- No i tuś mnie złapał – oznajmił szczerze Bartosz. - Niby jak- zdziwił się Rudy Tolek.

- No, to mieliśmy przeczytać „W pustyni i w puszczy”. Prawda? – Wciąż kluczył Bartosz.

- E, to już wiadomo, że to o tej książce będziemy mieć ten nasz konkurs – zirytowała się Tereska dodając - A ty już nie bądź taki tajemniczy. Mówisz i mówisz, ale ciągle nie powiedziałeś nam, o co ci chodzi – zakończyła.

- No tak, masz rację – kajał się Bartosz - Mówię i mówię, bo sam nie wiem, czy wam o tym opowiedzieć.

- To po co zaczynałeś, jak teraz nie chcesz nam tego opowiedzieć – uparcie dociekała Tereska.

- Bo jest tak, że chciałbym, ale może być, że jak opowiem, to uznacie, że zbliznowałem - mówił Bartosz - Może lepiej nie mówić nic?

Po tych słowach Bartosz jakoś dziwnie umilkł i wydał się jeszcze bardziej tajemniczy. A w klasie zapadła cisza, taka jak zwykle, kiedy on – skromny Bartosz Dzięgiel, opowiadał przeczytaną książkę. Czuł, że znowu ma

„w garści” swoich słuchaczy i nie może ich zawieść. Musi już, w tej chwili zdecydować, co dalej, inaczej klasa zostanie nieujarzmiona, a on sam przepadnie z kretelem.

Zdarzenie, o którym zamierzał opowiedzieć, całkowicie zaprzętało mu głowę, toteż nic ciekawszego nie mógł sobie przypomnieć. Nie pozostało mu więc nic innego, jak opowiedzieć o tym, o czym zamierzał już w chwili, kiedy pani Hania kazała mu przypilnować klasy. Od samego początku wiedział, że ta historia zainteresuje ich, jak nic. Obawiał się tylko, żeby nie mówili, że zbliznował albo kłamał. Jednak po namyśle poważnie odchrząknął i machnąwszy ręką, jakby muchę sprzed nosa przeganiał, zaczął:

- A niech tam. Słuchajcie. Tamtego dnia, kiedy pani Hania kazała przeczytać lekturę „W pustyni i w puszczy”, od razu wypożyczyłem ją w szkolnej bibliotece i wieczorem, po uśpieniu Zuzi, siadłem do czytania. A wtedy, o zgrozo, okazało się, że książka została w szkolnej ławce.
- Też mi coś? Albo to raz książkę czy zeszyty zostawiłam w szkole? - Wtrąciła się Frelka, którą od razu skarcono.
- Ty Frelka siedź cicho! Możesz tylko słuchać – oznajmił Mały Adaś, a zwracając się do Bartosza dodał – mów dalej. Cała klasa poparła Adasia, wołając - Właśnie! A Bartosz, jakby nie słyszał, co powiedziała Frelka, ciągnął dalej. - Wiadomo, listopad to i szybko wieczór, i późno już było. Ale widziałem, w szkolnych oknach światło. Znaczyło to, że pan woźny jest jeszcze w szkole i postanowiłem tam pójść. Kiedy byłem już w korytarzu usłyszałem kroki, ale to nie były kroki pana woźnego. Każdy w szkole wie, jak chodzi nasz woźny. On przez tą wojnę kuleje na jedną nogę. A tu, mówię wam, jak bonie dydy, wcale nie jakieś kuśtykające kroki, tylko tak powoli, równiutko, jakby ktoś sobie po szkole spacerował. W pewnej chwili poczułem dziwny chłód i ujrzałem jak z drzwi na końcu korytarza, z naszej klasy, wychodzi jegomość. Z małą bródką i podkreconymi wąsami. Odziany w czarny surdut i szarą kamizelkę. Lewy kciuk trzyma w małej kieszonce kamizelki, przy której pobłyskuje gruba, złota dewizka. A w prawej ręce... trzyma moją książkę. Jegomość był... jakby to powiedzieć, taki... no bardziej mały, niż wysoki.
- Jak to, bardziej mały, niż wysoki? - zdziwił się Tolek.
- No... bo... - niepewnie dukał Bartosz, nie wiedząc jak określić wzrost owej zjawy. A przecież nie chciał obrażać osoby, którą wtedy spotkał. Po krótkim namyśle, orzekł: - E! Bo on był taki, no... za przeproszeniem i bez obrazy jegomościa ... kurdupel - oznajmił Bartosz ścisząc głos. - Aaaa – skwitował Rudy Tolek i zapytał – A kto to był?
- Ech, bratku! To, aż strach gadać, kto to był – oznajmił Bartosz, dziwnie rozglądając się w koło.
- To co, ducha zobaczyłeś, czy co? – Jakby z pretensją, zapytała Ania, która mało kiedy się odzywała.
- A żebyś to wiedziała... - bez wahania odparł Bartosz, dramatycznie ścisząc przy tym głos.

Ten dziwny ton, jakim to im oznajmił, spowodował, że zaczęli z lękiem spoglądać na siebie i przysiądać się coraz bliżej jeden do drugiego. Zwykle chłopcy bardzo uważali, żeby nie siedzieć razem z dziewczynami. Teraz nawet nie zwracali uwagi na to, kto i gdzie usiądzie. Ważne było, żeby blisko sąsiada. Cała klasa ścisnęła się wokół Bartosza, który widząc co się dzieje, zawołał:

- Hola! Hola! Co wy?! Udusić mnie chcecie?!

- Eee, bo... - duknął ktoś nie kończąc myśli.

- Jakie ebo? Żadne ebo! – Z przejęciem wołał oblegany chłopak - Żadne ebo, tylko duch! Duch, jak żywy! Jak bonie dydy! – Zaklinał się Bartosz tłukąc pięścią w chudą pierś, aż dudniło po klasie. Okrągłe oczy słuchających, zwrócone były na pierś Bartosza, jakby właśnie tam, miał się im ukazać ów tajemniczy duch. Chłopak, po chwili milczenia pochylił się do środka zgromadzonych, i dramatycznym głosem dodał:

– Mówię wam. Duch. Żeby... nie wiem co. Żeby tak jutro w szkole nie był. Mówię prawdę. Jak bonie dydy!

Zaklął się kolejny raz i tajemniczo spojrzał na ściśniętą wkoło niego klasę. Domyślał się, że w tej chwili, to nie wiedzą czy bardziej się boją, czy też bardziej ciekawi ich to, co widział. Tak czy inaczej, to zawsze wychodziło na to, że mimo wszystko chcą słuchać, bo lubią się bać. A Bartosz, szelma, wiedział, jak rozbudzić ciekawość. Zwykle zaczynał bardzo tajemniczo, a potem mógł już pleść byle co, i tak słuchali go w największym skupieniu.

Ale chłopak nigdy nie zabierał się do opowiadania czegoś, czego sam by nie słuchał. A tym razem miał coś szczególnego do przekazania swojej klasie. Chciał też, żeby to, co dzisiaj im opowie zapamiętali na długo. I bezsprzecznie, udało mu się. Kiedy milczenie Bartosza przeciągnęło się, Rudy Tolek nie wytrzymał i zapytał:

- Długo jeszcze będziesz nas tak trzymał? Albo wreszcie, mówisz, kto to był, albo...

- Już mówiłem, że duch – odparł Bartosz i dodał – Duch Sienkiewicza, jak chcecie wiedzieć.

- O rany – szepnęła przestraszona Tereska i przytuliła się do koleżanki obok.

- A tak, tak. Duch Sienkiewicza. Henryka Sienkiewicza.

Tego samego, co napisał te wszystkie ciekawe książki.

- A skąd ty wiesz, że to on? – Zapytał znowu Rudy Tolek. - Jak to - skąd? Od niego samego. Tyle, że wtedy to jeszcze nie wiedziałem ani kto to, ani też, że z duchem przyszło mi prowadzić rozmowy.

- To jak to się stało, żeś się dowiedział, kim jest? Że jest duchem Sienkiewicza – nieufnie zapytał Długi Zdzicho. - Jak to było? – Odrzekł Bartosz, ciągnąc dalej – A tak to było. Kiedy był naprzeciw mnie, zatrzymał się i chwilę stał cicho, a potem dziwnie zapytał:

- *Nie boisz to się acan? Sam, tak po ćmie – i dodał - Wszak pierwszy kur wnet piąć będzie. Toż i godzina zjaw się przybliża. Obznajmiam, iż zgoła okrutne i straszne rzeczy, na ten czas, dziać się tu mogą – tak mówi ten jegomość i od niechcenia oznajmia mi - Atoli wiem ci ja, po cóżeś się kawaler przed północ w tem gmachu stawiał.*

- Dziwnie, bo dziwnie brzmiała ta jego gadka – opowiadał

Bartosz – ale dało się zrozumieć, o co mu idzie. Jegomość straszy mnie duchami – myślę sobie - Tylko po co?

- O rany... I nie bałeś się? – Zapytała Frelka.

Bartosz był zaskoczony pytaniem Frelki, ale jak gdyby nigdy nic, spokojnie odpowiedział:

- Najpierw wcale. Ale, kiedy podając mi książkę, zapytał:

- *A wiesz to kawaler, ktom jest? Boś wiedzieć to winien. Wszak żeś się to po mój manuskrypt tu stawiał. Zaliż praw rzeczę? Ale, ale! Widzę, iż żeś kawaler srodze zadziwion*

temu, com tu rzekł. Aliści jam ci jest człek, któren to rzecz ową na pergamin inkaustem spisał, zwąc oną „W pustyni i puszcy.” A cóżeś to, acan, niczym płótno zbielał?

- Najstraszniejsze było to – opowiadał Bartosz - że nie znam gościa, a on mówi, że przyszedłem po jego książkę. Mało tego mówi, że on napisał tą książkę. Mało i tego, twierdzi jeszcze, że jest Henrykiem Sienkiewiczem. Pisarzem, który dawno nie żyje. Rozumiecie to? – Zapytał Bartosz - Jak do mnie to dotarło – mówił dalej – wtedy...

Bartosz przerwał na chwilę jakby się zastanawiał, co było dalej, wtedy Długi Zdzicho niecierpliwie sygnął pytaniami: - No i co, było? Mówże. Co zrobiłeś? Bardzo się bałeś? -Hmm... przyznaję, spietrałem się i poczułem jak mi włosy na głowie rosną –szczerze powiedział Bartosz.

W klasie zaległa grobowa cisza, jakby makiem zasiał, tylko Ania, mocno zaciskając palce na ręce koleżanki szepnęła, „o matko...”, a Długi Zdzicho znowu zapytał:

- I co wtedy zrobiłeś?

Bartosz, szelma, widząc ciekawość i okrągłe ze strachu oczy słuchaczy, zadowolony ciągnął dalej.

- Co wtedy? No wtedy, to pomyślałem sobie; Sienkiewicz?

Przecież on dawno nie żyje. To znaczy, że jak nic, gadam z duchem – myślę sobie i znowu poczułem mrówki na plecach. Jak bonie dydy, na nowo obleciał mnie strach. Pomyślałem sobie; *w nogi bratku* i zamierzałem właśnie zawrócić na pięcie, nawet zostawić książkę, i uciekać stąd, gdzie pieprz rośnie, ale jegomość spokojnie powiedział:

- *Atoli widzę, kawaler uznałeś za słuszne rejterować. I nie dziw mnie to, wszakem duch przecie.*

- Rozumiecie? Przecież nikt normalny by tego spokojnie nie zniósł. Każdy by się bał. Ja też. Ale jak on do mnie tak powiedział, że niby jestem tchórz, to wtedy postanowiłem pokazać mu, że wcale się nie boję.

- Trzeba było trzy razy się przeżegnać – niepewnie wtrąciła Frelka, która widocznie nie była aż taka bojowa i wierzyła w duchy, i dodała – Trzy razy przeżegnać się i powiedzieć, wszelki duch Pana Boga chwali, to duch od razu zniknie.

- Może by i znikł, ale ja nawet nie mogłem gęby otworzyć, a co dopiero przeżegnać się. Ale to jeszcze nie koniec, bo mówiąc prawdę, wiedząc teraz, co wiem, to nie wiem, czy chciałbym, żeby od razu znikł.

- Co ty? – Cicho zapytał Rudy Tolek.

- No właśnie...

Bartosz zawiesił głos i miarowo kiwając głową, tajemniczo spoglądał po wyczekujących dalszego ciągu. W końcu, odczekawszy chwilę, ciągnął dalej:

- Wiecie, dlaczego nie chciałbym, żeby znikał? Dlatego, że on wiedział o naszym konkursie i obiecał pokazać mi wszystkie ciekawe miejsca, gdzie byli Staś i Nel.

- No coś ty? I zgodziłeś się? – Trwożliwie zapytał Długi

Zdzicho i dodał – A jak to był diabeł, to...

- Właśnie. Może chciał twego cyrografu - wtrąciła Frelka.

Bartosz podrapał się po głowie i opowiadał dalej:

- E, tam. Jaki diabeł? Żadnego cyrografu nie chciał.

- A nic mu nie podpisałeś? - Z przejęciem pytała Frelka. - O rany, a jak podpisałeś? - Jęknęła Piegowata Zocha. - E, tam. Jak mówię, że nie, to nie. Przecież pamiętałbym chyba, że podpisywałem jakiś cyrograf.

- Opowiadaj, chłopie. Dziewuchy to zaraz o cyrografie i podpisywaniu... – stwierdził Mały Adaś.
- Jak nie wierzycie, to mogę wam się zakląć, jak bonie dydy – zaklinał się Bartosz
 - że on, to znaczy się ten duch, niczego nie kazał mi podpisywać. Zapytał tylko, czy chcę wyruszyć z nim na taką wycieczkę, i tyle... - I zgodziłeś się? – Zapytał Rudy Tolek.
- Zgodziłem – odrzekł krótko Bartosz.
- O matko.... – szepnęła znowu Piegowata Zocha.

Ale Rudy Tolek, nie zwracając na nią uwagi, zapytał:

- Fajnie było?
- Fajnie – stwierdził Bartosz.
- To opowiadaj – rzeczowo zakończył Tolek.
- Opowiadaj, opowiadaj – zachęcał Mały Adaś.
- A nie będziecie się bać? – zapytał Bartosz.
- Trochę może tak... ale, co tam - wtrącił Długi Zdzicho. Lepszego momentu na ogłoszenie przerwy pan woźny nie mógł wybrać. Kiedy rozległ się dzwonek, Piegowata Zocha podskoczyła i, jakby się jej stara, winylowa płyta zacięła, przeraźliwie zawołała swoje „o matko”... Zresztą, nie tylko ona. Inni też. Jakby obudzeni nagłym wtargnięciem, w spirytystyczną niemal ciszę, ostrego dźwięku, podskoczyli na swoich krzesłach. Nawet Bartosz trochę się przestraszył. Niektórzy zegnali się szybko i nieskładnie. Inni oglądali się trwożliwie za siebie, a jeszcze innych strach po prostu sparaliżował. Wszyscy mieli wielkie, okrągłe jak spodki oczy, a w powietrzu unosił się przywołany przez Bartosza, duch Sienkiewicza. W klasie zaległa głucha cisza. Słyszać było każdy oddech. Po dłuższej chwili, Rudy Tolek, który widocznie najszybciej otrząsnął się ze nagłego przestachu, z pretensją skonstatował:
- No tak... i koniec...
- Tak jakby – potwierdził Bartosz.
- I co? Nie opowiesz dalej – z żalem zapytał Mały Adaś.
- Teraz przerwa... Może innym razem – odrzekł Bartosz.

Po klasie przebiegł pomruk niezadowolenia, ale nikt się nie ruszył z miejsca. Wiadomo było, że oczekiwali dalszego ciągu. Że opowie im, co było dalej. Widząc wpatrzone w niego kilkanaście okrągłych par oczu, pomyślał sobie, że póki jeszcze jest przerwa, może opowiadać dalej i bez żadnego tłumaczenia, zaczął od zgody na dalszy ciąg:

- No, dobra. Niech wam będzie. Kiedy zgodziłem się na tę wycieczkę, powiedział: *Tedy ruszajmy, acanku* i wziął mnie za rękę. Była zimna i znowu mnie strach obleciał, ale kiedy ruszyliśmy w drogę, to już nic a nic się nie bałem.

Chyba tylko tego, żeby mi za prędko nie zniknął.

- E, gadasz – drżącym głosem wtrącił Gruby Henio.
- Wcale nie. Co miałem się bać? Zabrał mnie do Afryki, pokazał kilka ciekawszych miejsc, w których byli Staś i Nel. Mówię wam. Jak bonie dydy!
- No niech ci będzie, że nie, ale ja bym się bał, i to bardziej jeszcze niż te twoje „bonie dydy” – oznajmił Gruby Henio. - Ja nie myślałem o strachu i... chyba wcale o niczym nie myślałem... Patrzyłem tylko na to, co mi pokazywał i słuchałem, co mówił. Raz tylko się bałem, a może nawet dwa, czy trzy, ale nie tego ducha.
- A czego? – Trwożliwie zapytała Tereska.

Pierwszy raz strach mnie obleciał, jak na pustyni złapała nas burza piaskowa. Kiedy wśród obłoków kurzu, jakoś tak dziwnie, jakby kątem oka, zauważyłem kilka pędzących na koniach cieni. Nie wiedziałem, czy mi się to śni, czy też jest naprawdę. A upiorne cienie pędziły przeraźliwie krzycząc; Yalla! Yalla! I wtedy nagle zerwała się potężna wichura niosąca chmury piasku. Zrobiło się ciemno jak w nocy, a ci Beduini, znowu pędzili, wołając swoje , Yalla! Yalla! Wtedy, pośród tego *Yalla* usłyszałem też jeszcze cieniutki głosik; *Stasiu! Stasiu!* Wtedy Sienkiewicz zapytał mnie; - *Widzisz to ich* - i dodał - *Okrutni oni i lepiej nie stać na ich drodze. To Chamis i Gebhr z kamratami. Uwożę Stasia i Nel do Smaina.* Wszystko to powtarzało się kilka razy. Wciąż od nowa i od nowa. Strach jeżył włosy, a piasek wciskał się wszędzie. Do oczu, nosa i ust, ale w pewnej chwili – ciągnął Bartosz - Sienkiewicz podał mi jakąś chustkę i kazał zawiązać sobie na twarz, wtedy trochę mi ulżyło. Ale mówię wam, burza piaskowa, to straszna rzecz. Co prawda piorunów nie było, ale wolę naszą, z piorunami i deszczem. Tak wiało, kręciło, jakby jakiś zły duch, nosił po pustyni chmury piasku. Musieliśmy się ukryć za dromaderami. Żeby nie to, że Sienkiewicz, jak mówił, przeżył niejedną burzę, to koniec... Zasypałoby nas tam na amen.

- Nie chciałbym tak - szepnął Mały Adaś i zapytał – A potem to co jeszcze było, że się bałeś?
- Potem to jeszcze strach mnie obleciał, jak Sienkiewicz pokazał mi skały. Te, na których spotkali ogromnego lwa.

Stał na skale, jak rudy, grzywiasty potwór. A jak zaryczał, to zdawało mi się, że ziemia się trzęsie. Bałem się, że zaraz na nas skoczy. Ale gdzieś z boku, jakby we mgle, ukazał się śmiesznie ubrany chłopak. Był może trochę starszy ode mnie. Miał strzelbę i wycelował do lwa. Strasznie huknęło i w tej samej chwili, wszystko nagle znikło... Lew, skały i dziwnie ubrany chłopak, a we mgle, pojawiło się dwóch Beduinów. Mnie od razu strach obleciał, a Sienkiewicz, chyba widząc mój lęk, powiedział:

- *Nie strachaj się kawaler. To jeno Gebhr i Chamis. Jako dusze nieczyste, przy każdej pełni księżyca, zjawiają się tu niczym węże ślizgając się pośród skał, wyją jak kojoty.* - O matko – jak zwykle jęknęła przerażona Zocha i mocno przytuliła się do nie mniej przestraszonej, Tereski.

- To był ten drugi raz. A za trzecim razem, to było, kiedy pokazał mi ten ogromny baobab?, co nazwali Krakowem.

- A co to jest, ten baobab – zapytała Tereska.

- Nie wiesz? – zapytał Bartosz zdziwiony. - No, nie wiem – odrzekła Tereska.

- Nie czytałaś książki? – znowu zapytał Bartosz.

- A jeszcze nie czytałam, bo chyba ty ją masz – odpaliła.

- Prawda, mam ją jeszcze. No, to dla twojej wiadomości.

Baobab to takie ogromne – oznajmił - afrykańskie drzewo.

Taki wielki, że Staś dla całej czwórki, znaczy się dla Nel, Mei, Kalego i siebie, urządził w nim wygodny dom.

- To czego tam się bałeś? Drzewa? – Zapytał Rudy Tolek. - Bo z tego drzewa wypełził ogromny, przeogromny pyton i mnóstwo innego jadowitego robactwa. A ty masz pojęcie, jak to wszędzie potrafi wleźć? Sienkiewicz mówił, że tylko odpowiednie ubranie i buty, mogą ochronić przed tym robactwem i ukąszeniem jadowitych węży.

- Brrrr – otrząsnął się Tolek, a Zocha dodała – o matko... - A jak się tam dostaliście? – zapytał nagle Długi Zdzicho. - Na miotle – zażartował Bartosz, a Piegowata Zocha, jak zwykle jęknęła; O matko... Jak więdźmy...

- Hm – zamyślił się Bartosz po czym zawołał –Wiecie, co? Żarty żartami, ale do dzisiaj nie zastanawiałem się, jakim sposobem znaleźliśmy się tam? Nic nie pamiętam...To znaczy, nie przypominam sobie, żadnego pojazdu... Tylko wielbłądy z dwoma garbami, za którymi kryliśmy się przed tą piekielną burzą piaskową.

- Coś ty? No, to niby jak - ni to pytał, ni zastanawiał się, równie zdziwiony Rudy Tolek.
- Nie wiem, jakoś tak – Bartosz wcisnął głowę w ramiona, co miało oznaczać, że sam nie bardzo rozumie, jak to się stało i rozpamiętując niepewnie mówił - Po prostu... nagle znaleźliśmy się w jakimś afrykańskim mieście... Chyba w Mombasie - zastanawiał się Bartosz, a upewniwszy się, że tak właśnie było, mówił dalej – Tak. To była Mombasa. To tam od razu podszedł do nas jakiś fakir chcący zarobić i... - Ale Bartoszu – przerwała mu Pani Hania, której nikt dotąd nie zauważył, że cichutko stoi w drzwiach – fakir nie zabiega o zarobek. Fakir to wędrowny mnich, który żyje z tego, co ludzie mu ofiarują –oznajmiła pani Hania. - No to może i tak – przyznał Bartosz mówiąc – To może jakiś inny tubylec, który koniecznie chciał nas oprowadzać po mieście. Ale Sienkiewicz twardo odmówił mu i ...
- I jeszcze jedno – przerwała znowu pani Hania zwracając uwagę – Nie Sienkiewicz, ale pan Henryk Sienkiewicz.
- Ma się rozumieć, pszepani – zgodził się Bartosz i ciągnął dalej – No to pan Henryk Sienkiewicz twardo odmówił i powiedział, że sami sobie poradzimy. A nachalny fakir odszedł niezadowolony, rzucając w nas groźne spojrzenia. Pan Henryk Sienkiewicz wyjaśnił mi, że tu trzeba być bardzo stanowczym, jeśli nie chcesz, żeby cię oszukano.

Pozbywszy się natręta, poszliśmy do potężnego Fortu, zbudowanego w piętnastym wieku przez Portugalczyków.

I wiecie, jak go nazwali? Zapytał Bartosz – Nie do wiary! Nazwali tą budowlę - Fort Jezus.

- Bo może oni nie wierzyli w Boga – wtrącił Rudy Tolek.

- Coś ty? – Wołał Bartosz – Przecież to byli chrześcijanie!

Rozumiecie – pytał - Jak można nazwać, jakąś chatę Jezus? - Oburzał się Bartosz. Chwilę milczał, jakby się zastanawiał, co dalej, a potem dodał - Ale trzeba przyznać, że udał się Portugalczykom ten Fort. Jest może nie za ogromny, ale za to bardzo ciekawy. A widok z niego...

Mateńko ty moja! Zachwycił się Bartosz, opowiadając dalej – Ocean lśni szmaragdowym kolorem wód, a na nim dziesiątki rzeźbionych łodzi, którymi rybacy wypływają na połów. A potem wszystko to, co złowili, przywożą do Mombasy i handlują w zatłoczonych, wąskich uliczkach. A jak zaczną na poczekaniu smażyć i gotować ryby, ośmiornice i jeszcze inne paskudztwo, to jak bonie dydy, powietrze staje się obrzydliwe. Ale wiecie, niektóre kobiety - ciągnął

dalej - te sprytniejsze, bo chyba kto pierwszy ten lepszy. No, to te sprytniejsze, na rogatkach Mombasy, smażą i sprzedają mandazi. To takie pyszne racuchy, z gorącym lukrem.

- Jadłeś te placki? – ciekawie zapytała Frelka.

- Nie. Ale te przynajmniej pysznie pachną, to pewnie i tak smakują – stwierdził Bartosz i ciągnął dalej – A pięć razy dziennie w tym kucharskim zgiełku, słysząc muezinów, zawodzących na cztery strony świata, Adhaan! Adhaan!

- A co to znaczy? – zapytała znowu Tereska.

- A czy to ja Beduin, żeby znać ichni język? Wiem tyle, że tak nawołują wiernych do modłów – odrzekł Bartosz. -No tak -dziwnie skwitowała Tereska ni to, że do modłów, ni to, że Bartosz nie Beduin. Ot tak, po prostu.

-Wśród tych uliczek – mówił dalej Bartosz – można by zobaczyć mnóstwo ciekawych rzeczy, ale tak cuchnie tam wilgocią i smażeniną, że wolę nasz Jaczów niż Mombasę. Byliśmy też w zniszczonym przez tę ich wojnę Chartumie.

Czołgów to oni nie mieli, żeby tak zrujnować miasto. Ale za to słonie... to ho, ho, co mogą zrobić. Są ogromne i strasznie silne – mówił Bartosz dodając – Poznałem siłę jednego takiego, jak oglądałem Stasia na tym ogromnym słoniu, którego Nel nazwała King. Staś właśnie na tym Kingu, ruszył na pomoc Fumbie, królowi Wa-Himów, który właśnie walczył z Samburu. Widziałem słynnego Mahdiego i jego żołnierzy na ogromnych słoniach, i górę Lindego, i te opuszczone, słomiane chaty, w których mieszkali Nel, Mea, Kali i Staś. Wszystko to widziałem, jak żywe. Jak bonie dydy. A na koniec pan Henryk

Sienkiewicz powiedział:

- Bo widzisz kawaler, onegdaj, będąc w Afryce, tamtejsza niemoc tak mnie dopadła, iż nader składnie przygotowana wyprawa, nie doszła do skutku. Tak to umyśliłem mojem zamierzonym traktem, posłać Stasia Tarkowskiego. A dla wykazania się bohaterstwem, powierzyłem mu angielską dziewczynkę, Nel Rawlison. Kawaler możesz jeszcze wielu bohaterów mojej zapoznać. Jeśliś gotów woluminy przeze mnie sporządzone, czytać. I tak, na ten przykład, pana Michała, człeka mojej marnej postury, aliści wielkiego duchem i niezrównanego szermierza we władaniu szabelką – powiedział, na chwilę zadumał się i dodał – Jest i drugi, Longinus Podbipięta. Ten ci postury komicznej rzekłbym, bardzo wysoki, a przy tym wyjątkowo chudy. Jednakoż

w boju- niezrównany jest. Nierozstający się ze sławnym Zerwikapturem, czyli ogromnym mieczem zdobyty na

Krzyżakach. Tym władać potrafił jeno - Podbipięta. W ostatnim swoim boju, naszpikowan strzałami, jakby i mięsiwo przyprawą, siekł owym mieczem z lewa i prawa, do ostatniego dechu. Oto, jakich bohaterów czytającym wystawiam. A wszystko dla pokrzepienia serc – zakończył. Bartosz na chwilę umilkł, a potem powiedział:

- Wiecie... myślę, że Sienkiewicz opisał tych bohaterów takimi, jakim w młodości marzył być. A że sam był niewysoki, więc stworzył małego wzrostem, ale wielkiego duchem rycerza – Michała Wołodyjowskiego. Ten drugi - Longinus Podbipięta... Nie wiem, czy Sienkiewicz chciałby takim być. Podbipięta to wspaniały przykład bohaterstwa. Ale jak tyka, wysoki i chudy. Widziałem...

Bartosz nagle urwał zastanawiając się - Widziałem?-

A może wszystko to tylko mi się śniło? Hmm... Kiedy Henryk Sienkiewicz nagle znikł, poczułem, że ktoś lekko potrząsał mną. A kiedy ocknąłem się, byłem w szkole. Tu, w naszej klasie. Siedziałem w swojej ławce, a pan woźny szarpał mnie za ramię – rozpamiętywał Bartosz.

A Piegowata Zocha, jakby nie mogła bez tego się obyć, jęknęła swoim zwyczajem; O matko...

Bartosz, nie zwracając na nią uwagi, zakończył zamyślony:

- Nieważne. Widziałem, czy nie widziałem. Może mi tylko to się śniło? Postanowiłem sobie, że przeczytam wszystkie te książki, żeby się dowiedzieć, jak było naprawdę. Tym oświadczeniem, Bartosza zakończył opowiadanie, a nikt w klasie nie wątpił w to. Wszyscy wiedzieli, że kto jak kto, ale Bartosz przeczyta. Dlatego nikt się słowem nie odezwał i w klasie zapanowała kompletna cisza, którą po krótkiej chwili, przerwały delikatne oklaski. Dopiero teraz wszyscy spostrzegli, że pani Hania wciąż stoi w drzwiach. Bartosz w mig zrozumiał, że wolna lekcja dawno minęła. Toteż niepewnie zaczął tłumaczyć, że nie słyszał dzwonka i nie spostrzegł, że przerwa już się skończyła. Ale pani Hania, dziwnie zadowolona i uśmiechnięta, oznajmiła:

- Brawo, Bartoszu brawo. Z przyjemnością słuchałam, twego opowiadania. Nie przerwałam, choć powinniśmy już kończyć lekcję polskiego. Ale trzeba przyznać, że fantazję to ty masz. A swoją drogą, opowiadałeś to tak ciekawie, że nie sposób było ci przerwać – zakończyła pani Hania. -Ale, pszepani... przepraszam - dukał zażenowany Bartosz. - Nie masz za co – odrzekła pani Hania- Nie straciliśmy lekcji. I wiecie co – dodała po namyśle -Sądzę, że już nie musicie czytać „W pustyni i w puszczy”. Prawda?

- A konkurs? – niepewnie zapytał Rudy Tolek.

- Konkurs? – Powtórzyła pani Hania dodając – Konkurs się odbędzie, ale myślę, że już wiecie, kto dostanie książkę... - Ma się rozumieć! Bartosz! – Huknęła cała klasa zgodnie, a najgłośniej wołała Frelka. Za to Piegowata Zocha nie wytrzymała i jak zwykle jęknęła: O matko...

Kilka dni później, w klasie czwartej, odbył się konkurs, którego zwycięzcą został, jak przewidywano – Bartosz.

Dostał też wymarzoną książkę „W pustyni i puszcy”. Czytał ją kilka razy, jak całe mnóstwo innych pięknych i ciekawych książek. A po wielu latach przykładnej nauki został księdzem i wiernym w swoim kościele wygłaszał przepiękne kazania.

Opowieść Bartosza, traktowana przez nauczycieli z przymrużeniem oka, długo jeszcze krążyła wśród uczniów jaczowskiej szkoły, aż w końcu zapomniano o niej. Pewnie zostałoby tak do dziś, gdyby nie to, że po latach historia ta przypomniała o sobie.

Pewnego jesiennego dnia, pani Krzysia do późnego wieczora przebywała w szkolnym pokoju nauczycielskim, poprawiając uczniowskie zeszyty. I nie byłoby w tym nic dziwnego, bo przecież to zajęcie nauczycieli. Ale kiedy pani Krzysia wyszła z kancelarii, usłyszała czyjeś równe kroki i ujrzała jegomościa, spacerującego szkolnym korytarzem. Kiedy przyjrzała mu się uważniej, rozpoznała w nim Henryka Sienkiewicza. Wyglądał tak, jak na starych fotografiach i portretach. Dokładnie tak, jak niegdyś opisywał go Bartosz. Dreszcz przebiegł po plecach pani Krzysi, ale kiedy przechodził obok, o dziwo, wcale się nie bała. A kiedy lekko skinął głową i z francuska powiedział do niej, *madmuasel (mademoiselle)*, to wręcz uznała za zaszczyt, że ktoś taki, właśnie w jej towarzystwie, zechciał spacerować po szkolnym korytarzu. Stała, patrząc, jak wolno schodzi na klatkę schodową. Kiedy zniknął jej z oczu, pobiegła do domu. A następnego dnia wszystko to opowiedziała zebranym w kancelarii nauczycielom i zaproponowała nadanie szkole imienia tego znanego pisarza i Noblisty.

Jakiś czas później Szkole Podstawowej w Jaczowie uroczystie nadano imię Henryka Sienkiewicza.

W ten sposób duch wielkiego pisarza zamieszkał tu na zawsze. Pewnie kiedyś, ktoś, o wieczornej porze, znowu spotka go spacerującego tu, szkolnym korytarzem.
